

DIAMENTOWY PLAC

Mercè Rodoreda

Tłumaczenie Zofia Chądzyńska

Przedmowa

Diamentowy Plac zaczyna się tak: „Julietta specjalnie wstąpiła do sklepu, gdzie pracowałam, żeby mi opowiedzieć, że przed główną loterią na „ramo” odbędzie się losowanie maszynek do kawy, że już je oglądała, piękne, całe białe, z wymalowaną na każdej pomarańczy przeciętą na pół, tak że widać cząsteczki”. Pisząc to pierwsze zdanie, nie przypuszczałam nawet, że ćwierć wieku później moja powieść będzie mieć tyle wydań po katalońsku i tyle przekładów na inne języki.

Kiedy ją pisałam zupełnie nie pamiętałam, jak naprawdę wyglądał Diamentowy Plac. Pamiętałam jedynie, że kiedy miałam trzynaście albo czternaście lat, poszłam z ojcem przejść się ulicami dzielnicy Gràcia z okazji *festa major*. Na Diamentowym Placu ustawiono namiot. Tak jak i na innych placach, rzecz jasna, ale najlepiej zapamiętałam właśnie ten. Kiedy go mijałam, a cały aż rozbrzmiewał muzyką, miałam desperacką ochotę zatańczyć, tyle że byłam z tych, co to im rodzice nie pozwalali tańczyć, więc wlokłam się niczym dusza pokutująca przystrojonymi ulicami. Być może z winy tej frustracji, wiele lat później, w Genewie, zaczęłam powieść właśnie tamtym namiotem.

Jestem córką dzielnicy Sant Gervasi de Cassoles, wąskiej i krótkiej ulicy, która w tamtych czasach biegła od carrer de Pàdua do riera de Sant Gervasi, i nazywała się carrer de Sant Antoni. Później zmieniono jej nazwę na carrer de París, a jeszcze później otrzymała imię Manuela Angelona, które zachowała do dziś. Z Sant Gervasi nie jest wcale daleko do Gràcia. Znałam tam kina Trilla, Smart i Mundial, do których popołudniami chodziłam z dziadkiem. Znałam też targ Santa Isabel, gdzie chodziłam w wieku pięciu czy sześciu lat, przecinając ulicę Torrent de l’Olla, gdy zaczynało się już ściemniać, z jedną z sąsiadek kupować rybę. Kiedy miałam piętnaście albo szesnaście lat, przez długi czas chodziłyśmy z matką każdego popołudnia na spacer po carrer Gran. Zaczynałyśmy od Rambla del Prat, schodziłyśmy aż do Jardinetes i wracałyśmy drugą stroną ulicy, oglądając wystawy sklepowe.

Wszystkie wspomnienia, jakie zachowałam o Gràcii, są mi bardzo bliskie. Teraz te miejsca są daleko, ale myśl o nich, gdy ogarnia mnie nostalgia, dobrze mi robi. Wiele razy i w wielu okolicznościach tamte wspomnienia były mi pociechą.

Chciałabym, aby ci, którzy będą czytać moją powieść towarzyszyli mi w tym wzruszeniu. Sprawia mi radość myśl, że wśród tylu tysięcy czytelników, jakich miała i wciąż ma moja książka, jest wielu takich, którzy nigdy nie przeczytali niczego po katalońsku, a czytając ją, odkryli, że nasz język jest cywilizowany, wyrafinowany i ważny. Sprawia mi radość również inna myśl, a mianowicie, że ta prosta i ludzka powieść zaniósła nazwę Diamentowego Placu z Gràcii, a z nim także Katalonii, do tak wielu odległych krajów.

Pisanie przedmów, czyli mówienie o sobie (czy też o własnej książce, co jest tym samym), nigdy mnie specjalnie nie interesowało.

Opowieść o początkach *Diamentowego Placu* być może byłaby ciekawa. Ale czy da się opowiedzieć, jak powstaje powieść? Jaki impuls ją wywołuje, jak silna musi być wola, by kontynuować pisanie, by ukończyć z trudem to, co zaczęło się tak łatwo? Czy starczy, jeśli powiem, że rozmyślałam nad nią w Genewie patrząc na górę Salève albo spacerując po Perle du Lac? Mogę powiedzieć, i po części będzie to prawdą, że *Diamentowy plac* jest konsekwencją pewnego rozczarowania.

Wysłałam powieść *Jardí vora el mar (Ogród nad brzegiem morza)* na konkurs o nagrodę Joanota Martorella (jak się okazało, na ostatni, jaki ogłoszono), a jury ją odrzuciło. Niepowodzenie to wywołało u mnie reakcję przeciwną naturalnej, ponieważ trudności zawsze pobudzały mnie do działania. Gnana siłą urażonej dumy zaczęłam pisać nową powieść.

Chciałam, żeby była to powieść kafkowska, bardzo kafkowska, i oczywiście absurdalna, i pełna gołębi. Chciałam, żeby te gołębie dławiły główną bohaterkę od samego początku aż do końca. I tak zaczęła się we mnie rodzić, nim jeszcze usiadłam do maszyny do pisania, ze stosem kartek na boku, które miały się stać *Diamentowym Placem*. Pisałam ją jak w gorączce, jakby każdy dzień pracy miał być ostatnim dniem mojego życia.

Pracowałam jak nieprzytomna, poprawiałam po południu to, co napisałam rano, starając się, mimo pośpiechu, z jakim pisałam, mocno trzymać lejce, aby koń się nie znarowił i nie zбочzył z drogi. Niektórzy mówią o wybuchu twórczym. Nie wiem, co mają na myśli. Pisanie powieści to praca wymagająca wytrwałości, spokoju i panowania nad sobą samym.

A powieść, która z początku miała być złym snem o gołębiach, zaczęła stopniowo zmieniać się w *Diamentowy Plac*, również z gołębiami, ale teraz w innym znaczeniu. Był to okres wielkiego napięcia nerwowego i doprowadził mnie niemal do choroby. Z tym że *Diamentowy Plac* wysłany na pierwszy ogłoszony konkurs o nagrodę San Jordi, został potraktowany tak samo, jak *Jardí vora el mar* na ostatnim Joanocie Martorellu.

Kiedy powieść się ukazała, mój przyjaciel, Baltasar Porcel, choć bardzo ją chwalił, powiedział, że Colometa jest głupią dziewczyną. Uważam tę opinię, rzuconą bez namysłu, za błędną. Spoglądanie na świat oczami dziecka, w nieustannym zachwycie, nie oznacza bycia głupim, wręcz przeciwnie. Poza tym Colometa robi to, co powinna robić w sytuacji, w jakiej postawiło ją życie, a robienie tego, co należy robić i nic ponadto, ukazuje naturalny talent godny wszelkiego uznania. Uważam, że Colometa jest mądrzejsza od Madame Bovary albo Anny Kareniny, a nikomu nigdy nie przyszło do głowy, by mówić o nich, że są głupie. Może dlatego, że były bogate, chodziły ubrane w jedwabie i miały służbę. A chociaż ja sama, kiedy byłam młoda, marzyłam, by być Madame Bovary albo Anną Kareniną, chętniej tą drugą niż

pierwszą, gdy potrzebowałam głównej bohaterki powieści wybrałam Colometę, która w tym jest tylko podobna do mnie, że czuje się zagubiona w świecie.

O rzeczach (meblach, zegarach, wskazówkach zegarów i ich wahadłach, obrazach, kształtach i kolorach foteli i kanap, lampach oliwnych i lampach stojących, dywanach i baldachimach) mówi się w każdej powieści. Od Balzaka, przez Tołstoja, po Prousta, by wymienić tylko najważniejszych. Rzeczy mają niezwykłą wagę w narracji i miały ją na długo przed tym, jak Robbe-Grillet napisał *Podglądacza*. W *Diamentowym Placu* jest całe mnóstwo rzeczy: lejek, ślimak, lalki z „Domu Cerat”... wszystkie detale mebli, dzwonek elektrycznych i drzwi domu, gdzie miała pracować. Są złote pieniądze ojca Joana, które dał Quimetowi na wypadek, gdyby był w potrzebie. Są wagi wyrysowane na ścianie klatki schodowej. I nóż, symbol seksualny, którym pod koniec książki Colometa wyskrobuje swoje imię na drzwiach domu, gdzie kiedyś mieszkała.

Tyle że w *Diamentowym Placu* są nie tylko rzeczy, przede wszystkim jest w nim osobowość Colometry. Podsunęła mi ją bohaterka mojego dawnego opowiadania ze zbioru *Dwadzieścia dwa opowiadania*, zatytułowanego *Popołudnie w kinie* i zainspirowanego *Kandydem*. Gdyby Voltaire nie napisał *Kandyda*, możliwe że *Diamentowy Plac* nigdy by nie ujrzał światła dziennego. Wpływ Jamesa Joyce’a? Możliwe, że zakończenie mojej powieści wzięło się ze słynnego monologu Ulissea. Ale słuszniej byłoby szukać źródeł dla rozdziału XIII *Diamentowego Placu*, tego o śmierci matki Quimeta, w którymś z opowiadań z *Dublińczyków*.

Gdybym nie czytała Bernata Metge, nie przyszłoby mi do głowy kazać Colomecie opisywać wygląd jej młodego małżonka. Bernat Metge opisał wdzięki swojej ukochanej, a rozdział ten, będący przykładem doskonałości stylu i języka, nazywa się „Opis dziewczyny”. Kilka stron, które z powiedzeniem mogłyby rywalizować z najlepszą światową literaturą. „Opis dziewczyny” Bernata Metge podsunął mi pomysł na „opis chłopca”, czyli Quimeta, który czytelnik może znaleźć w rozdziale VIII mojej powieści. Jestem wdzięczna Bernatowi Metge za to, że dał mi dużo więcej, niż sobie zasłużyłam. I proszę go gorąco, aby wybaczył mi zapożyczenie.

Powinam przyznać się do wielu jeszcze wpływów, do których należałoby zaliczyć wszystkie moje lektury, poczynając od *Biblii*. Chcę też potwierdzić, ponieważ nie wszyscy tak sądzą, że *Diamentowy Plac* jest powieścią o miłości. O miłości napisano bardzo dużo. Od miłości najbardziej natchnionej i rycerskiej po tę najbardziej cielesną, w jakimś sensie ukazaną w jednej z najbardziej pretensjonalnych powieści – a wylano z ich powodu całe morze atramentu – stworzonej przez wybitnego pisarza D.H. Lawrence’a. Mam na myśli *Kochanka Lady Chatterley*. Jednak najwznioślejsza i najbardziej poruszająca rzecz o miłości, jaką napisano, to historia Franceski da Rimini z V pieśni Piekła *Boskiej Komedii*. Historia rozpoczynająca się tymi oto cudownymi wersami:

Siede la terra dove nata fui

su la marina, dove’l Po discende

*per aver pace co' seguaci sui.*¹

Miłość Ulissea wcale nie do Penelopy ani nie do słodkiej Nauzykai, lecz jego pełna pasji miłość do przygody. Dante rzuca go, w XXVI pieśni Piekieł, wraz z czterema starymi i obszarpanymi towarzyszami, w nadwątlonym okręcie, na ostatnią przygodę: przygodę ze śmiercią.

Nè dolcezza di figlio, nè la pieta

del vecchio padre, nè'l debito amore

lo qual dovea Penelope far lieta,

vincer potero dentro a me l'ardore

ch'i'ebbi a divenir del mondo esperto,

*e de li vizi umani e del valore.*²

Po *Biblii* i Dantem, do autorów, którzy wywarli na mnie, jak sądzę, największy wpływ i o których chcę wspomnieć, dodałabym jeszcze Homera.

Chcę podkreślić raz jeszcze, jako że martwi mnie, że niektórzy sądzą inaczej, otóż chcę wyraźnie zaznaczyć, że *Diamentowy Plac* jest przede wszystkim powieścią o miłości, choć pozbawioną jakiegokolwiek sentymentalizmu. Chwila, w której Colometa, powróciwszy do żywych ze swojej przeszłości, wchodzi o świcie do domu i obejmuje swojego drugiego męża, człowieka który uchronił ją od nędzy tego świata, to scena ukazująca głęboką miłość. „Pomyślałam, że nie chciałabym, żeby umarł, nigdy, nigdy...”. I zatyka mu pępek palcem „żeby nie wyszała go żadna zła wróżka i nie zostawiła mnie bez Antoniego”. A słowo *szczęśliwe* kończące powieść nie jest wcale przypadkowe. Nie umieściłam go tam, bo tak. Pozwala zrozumieć, że chociaż na świecie jest tyle smutku, zawsze ktoś go może uratować dzięki odrobinie radości. Na przykład ptaki. „W każdej kałuży, nawet najmniejszej, będzie odbijało się niebo, niebo, które od czasu do czasu zmąci skrzydłami ptak, spragniony ptak, który nie wiedząc o tym, będzie mącił niebo z wody... albo wiele małych krzykliwych ptaków, które

1 *Jam się zrodziła w ziemi, która leży / Nad brzegiem morza, kędy Pad szeroki / Spoczynku szuka z holdowniki swemi.* D. Alighieri, *Boska Komedia*, tł. A. Stanisławski, Poznań 1870.

2 *Ni przywiązanie do starego ojca, / Ani powinna dla małżonki miłość, / Co Penelopę uszczęśliwić miała, / Nie mogły we mnie przewyciężyć żądz, / Którą pałałem, chcąc poznać świat cały, / I śmiertelników przywary i cnoty.* D. Alighieri, *Boska Komedia*, tł. A. Stanisławski, Poznań 1870.

będą zniżały się z drzew niby błyskawice, będą zanurzały się w kałużach, będą w nich kąpały swe nastroszone piórka i będą mieszały niebo i błoto, i dziobki, i skrzydła, szczęśliwe...”

Diamantowy Plac jest już daleko. Jakbym to nie była ja, która go napisała. Bardzo daleko. W tej chwili, kiedy właśnie kończę przedmowę, bardziej zajmuje mnie ogród. Kwitną już blad różowo śliwki i koraloworóżowe maleńkie *drzewo Jowisza*. Podnosi się wiatr północny i nie obejdzie się z nimi łagodnie. Pójdę zobaczyć, co się dzieje z wiatrem i kwiatami.

MERCÈ RODOREDA

Romanyà de la Selva, 1982

A.J.P.

My dear, these things are life

Meredith

I

Julietta specjalnie wstąpiła do sklepu, gdzie pracowałam, żeby mi opowiedzieć, że przed główną loterią na „ramo” odbędzie się losowanie maszynek do kawy, że już je oglądała, piękne, całe białe, z wymalowaną na każdej pomarańczą przeciętą na pół, tak że widać cząsteczki, ale mnie się nie chciało iść na tańce, w ogóle nie chciało mi się wychodzić, cały dzień sprzedawałam słodycze i już mnie bolały czubki palców od ciągłego przyciskania tych złotych sznureczków i od robienia supelków i kokardek. A jeszcze i dlatego, że znałam Julietę i wiedziałam, że jest jej zupełnie obojętne, o której pójdzie spać, i nie robi jej żadnej różnicy, czy się wyśpi, czy nie.

Zmusiła mnie jednak, bym jej towarzyszyła z chęcią czy też, bez: taka już byłam, że cierpiałam, gdy ktoś mnie o coś prosił, a ja mu miałam odmówić; więc poszłam, na biało od stóp do głów: sukienka i halki wykrochmalone, pantofle jak mleko, klipsy z białej masy, trzy bransoletki dobrane do klipsów i biała torebka, zdaniem Juliety z ceraty, z zamkiem w kształcie złotej muszelki.

Kiedyśmy przyszedli na plac, muzyka już grała. Na środku placu zrobili jakby dach, ubrany kwiatami i papierowymi łańcuchami we wszystkich kolorach: na przemian łańcuchy i kwiaty. W niektórych kwiatkach były w środku żarówki, tak że cały ten dach wyglądał jak parasolka do góry nogami, bo po bokach końce łańcuchów były przywiązane wyżej niż miejsce, gdzie były złączone.

Gumka od halki, z którą się tak namęczyłam, żeby ją nawlec szpilką od włosów, co się wciąż zahaczała, zapięta na guzik i nicianą pętelkę, cisnęła mnie, że aż. Na pewno mi się odgniotła w pasie. Od czasu do czasu brałam głęboki oddech, żeby jakoś ją rozluźnić, ale jak tylko go wypuszczałam, znowu zaczynała mnie cisnąć. Podwyższenie dla orkiestry było obstawione asparagusami tworzącymi barierkę, a do asparagusów cienutkim drutem były przyręczepiane papierowe kwiaty.

Muzycy, spoceni, w samych koszulach. A moja matka zmarła już tak dawno, że w niczym nie zdążyła mi być oparciem, a mój ojciec żonaty z inną.

Mój ojciec żonaty z inną, a ja bez matki, która żyła tylko dla mnie. Mój ojciec żonaty, a ja taka młodziutka, sama na tym Diamentowym Placu, czekam na losowanie maszynek do kawy, i Julieta drze się, żeby przekrzyczeć muzykę: „Nie siadaj, bo się wygnieciesz!” - i przed oczami żarówki poprzebierane za kwiaty i klajstrem poprzyklejane łańcuchy, i wszyscy weseli, i ja myśląca o niebieskich migdałach, i w czasie tego wszystkiego głos szepczący mi do ucha: „Zatańczymy?”.

Nie zwracając uwagi, powiedziałam, że nie umiem, ale gdy odwróciłam się, żeby spojrzeć, natknęłam się na twarz tak blisko, że zobaczyłam tylko, że to była twarz chłopca.

- To wszystko jedno - powiedział - ja umiem, to panią nauczę. - Pomyślałam o biednym Perem, który w tej chwili w białym fartuchu gotuje w podziemiach restauracji „Pod Kolumbem”, i powiedziałam głupio:

- A jak się dowie mój narzeczony?...

Chłopak przysunął się jeszcze bliżej i śmiejąc się, powiedział:

- Taka młodziutka, a już ma narzeczonego? A jak się śmiał, wargi mu się rozsunęły i zobaczyłam wszystkie zęby. Oczki miał zupełnie jak mała i białą koszulę w niebieskie paski z rękawami zawiniętymi do łokcia i z odpiętym kołnierzykiem. Nagle odwrócił się do mnie tyłem, stanął na palcach, rozejrzał się dokoła, znów zwrócił się do mnie:

- Przepraszam - powiedział i zaczął krzyczeć: - E, nie widziałeś mojej wiatrówki? Leżał obok orkiestry... Na krześle... Co? - I powiedział mi, że mu gdzieś podzieli wiatrówkę, że zaraz wróci, żebym była łaskawa zaczekać, i znów w krzyk:

- Cintet! Cintet!

Julieta, cała na żółto z zielonymi haftami, wylazła nie wiadomo skąd i powiedziała:

- Zastoń mnie, bo muszę zdjąć pantofle, Jezu, nie wytrzymam dłużej... - więc jej powiedziałam, że nie mogę się ruszyć, bo jeden chłopak zgubił wiatrówkę, a że zamówił sobie u mnie taniec, to mu obiecałam poczekać. Na to Julieta:

- Tańcz sobie, tańcz!

Było gorąco. Dzieciaki po rogach puszczały fajerwerki i rzucały petardy. Na ziemi pełno było pestek od arbuzów, a po kątach walały się skórki i butelki od piwa; na tarasach także puszczano fajerwerki i na balkonach. Widziałam twarze całe błyszczące od potu, chłopcy wycierali je sobie chusteczkami. Muzycy śpiewali zadowoleni. Wszystko jak w teatrze. I pasodoble. Nie zdając sobie z tego sprawy, drobiłam tam i z powrotem, aż nagle z uczuciem, że przychodzę z bardzo daleka (a przecież byłam tak blisko), usłyszałam głos tego chłopca, który mówił: „Widzi pani, że pani umie tańczyć?” - i poczułam mocny zapach potu i zwietrzałej wody kolońskiej. Małpie oczki błyszcząły tuż (koło moich, a z każdej strony twarzy ucho tworzyło jakby medal. Gumka dalej cisnęła mnie w pasie, a moja nieżyjąca matka nie zdążyła być mi oparciem, bo powiedziałam temu chłopcu, że mój narzeczony jest kuchcikiem „Pod Kolumbem”, a on się roześmiał i powiedział, że mu współczuje, bo nie minie rok, jak będę panią jego i królową i będziemy tańczyć „el ramo” ma Diamentowym Placu.

- Moja królowa - powiedział.

I powiedział, że kiedy mi mówił, że za rok będę jego królową, to nawet na niego nie spojrzałam, więc spojrzałam, a wtedy powiedział:

- Niech pani tak na mnie nie patrzy, bo ja naprawdę nie wytrzymam - a to było, kiedy mu powiedziałam, że ma małpie oczki. Guma u halki rżnie mnie jak nóż, muzycy swoje tarari i tarara. Juliety ani śladu, zniknęła i ja sama z tymi oczkami, które mnie nie opuszczają. Tak jakby cały świat zamienił się w te oczy i nie było sposobu, żeby od nich uciec. A noc płynęła na wozie z gwiazd i zabawa płynęła, i „ramo”, dziewczyna od „ramo”, cała błękitna, kręcąca się w kółko i w kółko. A mama na cmentarzu San Gervasio, a ja na Diamentowym Placu...

„Pani sprzedaje -słodyczne? Miód i konfitury?”

Zmęczeni muzycy już wkładali instrumenty do pokrowców i z powrotem je wyjmowali, bo ktoś stawiał wszystkim walca, więc znowu kręcili się jak bąki. Kiedy ten walc się skończył, ludzie zaczęli wychodzić. Powiedziałam, że zgubiłam się z Julieta, a on powiedział, że zgubił się z Cintetem, i powiedział: „Jak będziemy sami, jak wszyscy już pochowają się po domach, a na ulicach będzie pusto, zatańczymy sobie walca z jednego na drugi kraniec Diamentowego Placu, Colometa”. Zmieszałam się, spojrzałam na niego i powiedziałam, że nazywam się Natalia, a jak mu powiedziałam, że się nazywam Natalia, znowu roześmiał się i powiedział, że mogę mieć tylko jedno jedyne imię: „Colometa”. Wtedy właśnie zaczęłam biec, a on biegł za mną.

- Proszę się nie bać, nie widzi pani, że nie może pani chodzić sama po ulicach, jeszcze mi panią ukradną... - I wziął mnie pod rękę, i zatrzymał mnie: - Nie widzi pani, że ukradliby mi panią, Colometa?

A mama nieżyjąca, i ja stojąca jak głupia, i ten pasek, co tak mnie ciśnie, jakbym była przywiązana drutem do gałązki asparagusu.

Więc znów zaczęłam biec. A on za mną. W sklepach pospuszczane żaluzje, a na wystawach pełno spokojnych przedmiotów, kałamarzy i suszek, i pocztówek, i lalek, i poupinanych materiałów, i aluminiowych garnków i jerseyów... Pędem wylecieliśmy na Calle Mayor, ja pierwsza, on za mną, i długo potem jeszcze nieraz to opowiadał: „Tego dnia, co (poznałem Colometę na Diamentowym Placu, jak zaczęła przede mną uciekać, to przed samym przystankiem tramwajowym zgubiła halkę...”.

Nicians pętelka pękła, a halka spadła na ziemię! Wskoczyłam z niej, o mało co nie zaplątałam się w nią, i w nogi, jakby mnie goniły wszystkie diabły świata. Doleciałam do domu i po ciemku zwałam się jak kamień na moje żelazne panieńskie łóżeczko. Było mi wstyd. A kiedy już mi minął wstyd, jednym kopnięciem zrzuciłam pantofle i rozpięłam włosy. A Quimet jeszcze długo potem opowiadał, jakby to było coś, co się dopiero zdarzyło: „Pękła jej gumka, a gnała jak wiatr”...